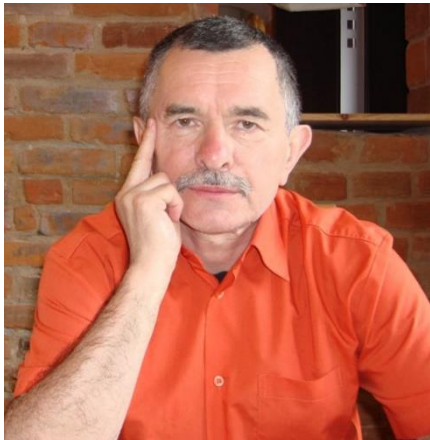


Józef Baran

## Spadając, patrzeć w gwiazdy (78)

(fragmenty)



### Rowery mają pierwszeństwo

Symbolem równości i demokratycznego myślenia, wymuszonego przez morze, jest też rower... Na rowerze „zapycha” dyrektor, szef firmy, sprzątaczką, studenci i uczniowie. Na rowerze dojeżdża do pracy premier rządu i jego ministrowie, na rowerze matka wiozą dwójkę, trójkę dzieciaków w różnym wieku, na rowerze robi się zakupy te mniejsze i te większe. Do roweru z przodu, z tyłu, z boku można doczepić różnego rodzaju przyczepia, bagażniki, nakładki, tak aby pojazd mógł służyć do transportu nawet całkiem sporych mebli. W każdym szanującym się zakładzie pracy znajduje się łazienka z prysznicem, aby pracownicy mogli odświeżyć się lub przebrać w służbowe ubranie po przyjeździe na rowerze. Willem, brat mojego zięcia, który cierpi na zaburzenia błędnika uniemożliwiające jazdę na dwóch kółkach, ma pojazd trójkołowy i taki widok osoby dorosłej jadącej na trójkołowym rowerze nikogo nie dziwi.

Nawet Amsterdam, miasto porównywalne wielkością z moim Krakowem – miastem smogów i korków ulicznych, co wynika też ze zwiększającej się lawinowo ilości aut – ma niezwykle rozbudowaną infrastrukturę rowerową. To dowód, że pewnie i u nas można by wprowadzać takie rozwiązania, gdyby urzędnicy naprawdę uwierzyli, że działają. W Holandii funkcjonują bardzo ostre przepisy parkingowe, tak że bardziej opłaca się pracownikom przyjeżdżającym do miast, gdzie są zatrudnieni, przesiąść z pociągu czy autobusu na rower, niż usiłować dostać się do centrum autem. Przy dworcach każdego miasta rzucają się w oczy „zatoki” tysięcy rowerów. Rower nikomu nie uwłacza. To jeden z fenomenów holenderskich, który tylko potwierdza ustawiczne dążenie członków społeczeństwa do wyrównywania szans poszczególnych ludzi. Na rowerze każdy jest taki sam, każdy tak samo moknie na deszczu i musi ostro pedałowac wbrew wiejącemu prawi-

zawsze wiatrowi. Idea egalitaryzmu z czasów rewolucji francuskiej została w kraju tulipanów i wiatraków w pełni zrealizowana...

Dodać należy, że jazda na rowerze w często niesprzyjających warunkach atmosferycznych hartuje od małego – stąd „wychów dzieci na zimno”, który nas może szokować, a tutaj jest czymś normalnym.

A oto garść liczb. W Holandii jest więcej rowerów niż mieszkańców – w samym Amsterdamie około 600 000. Sieć ścieżek rowerowych ma długość ponad 15 tysięcy kilometrów. Można tymi ścieżkami, a raczej trasami, bo są dość szerokie, objechać całą Holandię! Większość z rowerzystów korzysta z tzw. „omafiets”, znanych u nas jako holendry z wysoką kierownicą i dużymi kołami. Sezon rowerowy trwa w Holandii całusięki rok, a niektóre rowerostrady są specjalnie podgrzewane, tak aby nie zalegał na nich śnieg lub lód.

### Dwa języki

Oglądając telewizję, zauważam taki oto niby nieważny drobiazg... Na ekranie telewizora pod obcymi filmami znajdują się napisy, co zmusza nawet najbardziej opornych do ćwiczenia w czytaniu.

I drugi „drobiazg”. Holendrzy zrozumieli, że są małym narodem i nie mogą liczyć, że podbiją swym językiem świat, więc mówią od małego prawie tak samo biegle po holendersku i po angielsku, ponieważ wiedzą, że są „wychowywani dla świata” i że muszą sobie radzić zawsze i wszędzie. Hans opowiadał mi, że gdy był studentem i wyjechał na roczny staż za granicę – miał przez ten rok od ojca zakaz dzwonienia do mamy, celem ostatecznego zerwania pępowiny z domem.

Wychowywani dla świata – doskonale radzili sobie jako marynarze, kupcy, zdobywcy kolonii w najodleglejszych częściach globu i doskonale radzą sobie dziś – jako menedżerowie, właściciele firm, eksperci, „ekspaci”. To wychowanie dla świata wynika na pewno też ze świadomości, że wszyscy w kraju się nie pomieszczą, więc wszędzie powinni się czuć jak u siebie, w czym pomaga im m.in. doskonała znajomość angielskiego (prócz tego znają też przeważnie francuski i niemiecki).

### Bezdomny... w pałcu

Powróćmy do malarzy, których dzieła są większym skarbem Holandii od fabryki Philipsa i „złotych nóg” piłkarzy.

Jednym z moich celów przyjazdu tutaj, obok poznania Delft – miasta Vermeera – była właśnie chęć spotkania się oko w oko z van Goghem, w jego dziełach, bo największa ich kolekcja znajduje się w Amsterdamie...

Z Best do Amsterdamu – ponad godzinę jazdy pociągiem. Wieje wiatr i praży słońce, gdy maszerujemy z córką ulicami w stronę oddalonego od dworca o parę kilometrów muzeum malarza – celu naszej pielgrzymki. Wszędzie tłoczno, kolorowo i wielorasowe, bo to międzynarodowe miasto. W powietrzu

czuć zapach „marychy”, ale otumanionych narkotykami nie widać. Właściciele kafejek z narkotykami miękkimi dbają o swoją dobrą opinię i porządek. Niemniej to Amsterdam w dużym stopniu przyczynił się do obrazu Holandii jako kraju wolnomyślicieli i liberałów obyczajowych, kraju produującego w niekonwencjonalnych zachowaniach, włącznie z zalegalizowaniem narkotyków (co do eutanazji dużo łatwiej o nią w Szwajcarii, w Holandii procedura jest o wiele ostrzejsza).

W rzeczywistości... to kraj zaradnych, sprytnych, pracowitych i zapobiegliwych ludzkich pszczołek. Wystarczy spojrzeć na mapę, żeby wpaść w podziw, że to maleństwo, które mogłoby nie istnieć, jakimś cudem oparło się morzu i potęgą morskim, takim jak Hiszpania czy Francja – mającym na ten kraj przez setki lat chrapkę – ba, zdobyło kilka kolonii i osiągnęło w wielu dziedzinach duże sukcesy.

Można rzec, że Holandia dzieli się na Amsterdam i resztę Holandii, tak jak Stany na Nowy Jork i resztę Stanów... Dzielnica czerwonych latarni i „hyde park” zwany Vondelpark, gdzie odbywały się festyny bitników i hippisów ciągnących tu z całego świata – jest jakby awangardową wizytówką tego nie tylko mieszczańskiego, ale w wielu wymiarach konserwatywnego społeczeństwa.

Jak ów konserwatyzm łączy się z obyczajową postępowością i deklarowaną wszem i wobec tolerancją? – to następna jego zagadka. Po półtoragodzinym marszu dotarliśmy do muzealnego gmachu. Cóż za paradoks i za ironia losu! Człowiek, który za życia był utrzymywany przez brata, nie posiadał nigdy swojego domu, a za życia jedyny jego obraz został sprzedany w styczniu 1890 na wystawie w Brukseli za 400 franków – ma dziś pałac w centrum Amsterdamu, przed którym ustawiają się kolejki do kasy ludzi z całego świata, żądnych widoku dzieł szalonego geniusza.

„Ma” to oczywiście za dużo powiedziane o kimś, kogo dawno nie ma, a którego dziedzictwem zajęła się najpierw bratowa malarza, wdowa po Theo, a następnie jej synowie i wnukowie... Dzięki założonej Fundacji van Gogha otwarto Muzeum w 1973 roku. Mój Boże, gdyby malarz zobaczył choć raz za życia ten pałac i te kolejki, może żyłby nie 38, a 100 lat, a wraz z nim Theo, tak organicznie związany z bratem, że w pół roku po nim zmarł.

Tuż po tragicznej śmierci Vincenta, a potem jego brata Theo jeden z ówczesnych wpływowych artystów i krytyków holenderskich wycenił kolekcję dwustu obrazów malarza na... 2000 florenów, czyli 10 florenów za obraz...

Dziś wartość ich urosła milionokrotnie!

